

„Kobiety były i są w Polsce dobrze traktowane” – w taki kuriozalny sposób podsumowana została w polskim parlamencie debata dotycząca projektu ustawy o równym statusie kobiet i mężczyzn (1997). Ustawa nie została uchwalona, problem owego „traktowania” pozostał. Kobiety, owszem, są traktowane, ale nigdy nie traktują – czyli z językowego punktu widzenia są raczej przedmiotem działań publicznych niż ich podmiotem. Najprostszym, choć pewnie nienajlepszym sposobem udowodnienia tej tezy jest przedstawienie danych liczbowych. Kobiety stanowią około 51% ogółu obywateli. W obecnej kadencji w Sejmie zasiadają zaś 94 kobiety, co stanowi 20% ogółu posłów. W Senacie odsetek ten jest jeszcze niższy, bo wynosi 14%. Dysproporcje są zatem oczywiste, jednak cyfry nie mówią, dlaczego kobiety nie mają proporcjonalnej do swojej liczby reprezentacji parlamentarnej.

Być może prawdą jest głoszona powszechnie teza, że kobiety po prostu do polityki się nie garną? Wydaje się jednak, że jest to teza tak samo prawdziwa jak stwierdzenie, że mężczyźni nie gotują, podczas gdy w telewizyjnych magazynach kulinarnych brylują prawie wyłącznie panowie. Formułowanie jakichkolwiek kategoriycznych założeń jest w tym przypadku nieuzasadnione, podobnie jak nieuzasadnione jest twierdzenie, że kobiety nie interesują się polityką – jeśli bowiem rzeczywiście tak jest, skąd tak duży odsetek kobiet na studiach przygotowujących do działalności publicznej w różnych sferach (politologia, socjologia, prawo, ekonomia, stosunki międzynarodowe, historia), skąd tak ogromne ich zainteresowanie działalnością organizacji pozarządowych, fundacji i stowarzyszeń, nie tylko charytatywnych (choć te wydają się naturalnym polem aktywności kobiecej), ale także tych działających na rzecz społeczeństwa obywatelskiego? Można w tej sytuacji zaryzykować twierdzenie, że odsetek kobiet zainteresowanych działalnością publiczną jest podobny do odsetka mężczyzn przejawiających tego typu zainteresowania. Takie założenie prowadzi jednak do kolejnych pytań, które próbują wyjaśnić nieproporcjonalną reprezentację kobiet w organach państwowych. Wy tłumaczeniem tej sytuacji nie może być na pewno poziom wykształcenia kobiet w ogóle, wykształcenie kobiet działających w polityce również nie może potwierdzić tezy o ich braku przygotowania – w kadencji 2001–2005 93% parlamentarzystek miało wykształcenie wyższe (90% mężczyzn), a wśród nich 43% stanowiły kobiety z tytułem doktora habilitowanego lub profesora (32% mężczyzn). Skoro zatem liczby nie dają żadnej odpowiedzi na postawione pytanie, może problem tkwi gdzieś indziej?

Żeby go rozwikłać trzeba zapytać ogólniej: po co nam kobiety w życiu publicznym? Nie chodzi tu tylko o parlament, ale także o reprezentację w najważniejszych politycznych gremiach decyzyjnych, w sferze biznesu, w samorządzie lokalnym. Ponad 60% pytanym polityków (mężczyźni) uważa, że ich płeć nie ma znaczenia w podejmowaniu decyzji, nawet jeśli dotyczą one problemów kobiet. Same zainteresowane nie są już tak przekonane do tej tezy – 70% kobiet uważa bowiem, że specyficzne interesy kobiet mogą być w pełni reprezentowane tylko przez kobiety. Poza oczywistymi wnioskami, że społeczeństwo nie może marnotrawić potencjału intelektualnego kobiet, które w znacznej mierze dzięki środkom społecznym uzyskały wykształcenie, należy wspomnieć również fakt, iż w debacie parlamentarnej dotyczącej ustawy równościowej na temat wprowadzenia m.in. kwot (a więc określonego ustawowo odsetka kobiet na listach wyborczych) mężczyźni prawie w ogóle nie zabrali głosu, a postulaty kobiet (np. Olgi Krzyżanowskiej) zostały zignorowane, przez co w ogóle nie podano ich pod głosowanie. Wyższa reprezentacja kobiet pozwoliłaby w tym przypadku na stawienie bardziej zdecydowanego oporu przeciw praktykom pomijania ważnych dla kobiet kwestii. Niestety, koło jest zamknięte – nie ma kwot, nie ma reprezentacji, nie ma dyskusji o problemach kobiet. Dość wspomnieć, że wszystkie projekty ustaw dotyczących równouprawnienia kobiet i mężczyzn (także te z 2001 r. dostosowujące polskie prawo do rozwiązań unijnych) zostały skwitowane przez parlament nic nieznaczącymi deklaracjami o odwiecznym i historycznie zakorzenionym w polskiej kulturze szacunku do kobiet jako matek, odwołującymi się do obyczaju całowania kobiety w rękę i przepuszczania jej w drzwiach...

Czy jednak kwoty są stuprocentową gwarancją, że w parlamencie znajdzie się więcej kobiet? Niestety nie. W polskiej ordynacji wyborczej o szansach na wybranie decyduje *de facto* kolejność na liście wyborczej. Cóż bowiem z tego, że np. SLD umieściło w swoich wewnętrznych partyjnych przepisach obowiązek 35% reprezentacji kobiet na listach, skoro prawie wszystkie kobiety znalazły się na ostatnich ich miejscach. Praktyka pokazuje, że w tych okręgach, w których kobiety otwierały listy, z wyjątkiem jednego przypadku, wszystkie zostały wybrane (Platforma Obywatelska) – w Polsce bowiem wciąż obecny jest mechanizm głosowania „na listę” poprzez skreślenie pierwszego nazwiska. Zasadą jednak jest też to, że kobiety nieczęsto otrzymują taki przywilej od swoich partii, w wyborach lokalnych, w których

obostrzenia partyjne są jeszcze mniejsze, dostają go nawet rządziej. Wyjątkiem są kobiety o ogromnym doświadczeniu i autorytecie, które czasem „ciągną” swoje partie w wyborach. Fakt, że można te kobiety policzyć na palcach jednej ręki, potwierdza tylko tezę, że jest ich naprawdę niewiele. Nie ma jednak całościowych badań, które mogłyby opisać mechanizmy tworzenia list wyborczych, pozostają nam zatem tylko konkretne przypadki. A one pokazują rzeczywistość kobiecą w ciemnych barwach. W wyborach samorządowych z 2002 r. częste były przykłady spychania kobiet bardzo zasłużonych i doświadczonych w polityce lokalnej na ostatnie miejsca listy lub niewciąganie na listy kobiet najlepiej wykształconych i zdłużymi osiągnięciami i zastępowanie ich kandydatkami nie mającymi szans na wybór (np. rekomendacje Forum Kobiet SLD nie były w ogóle brane pod uwagę, a proponowane przez to gremium kandydatki były widocznie zbyt dużą konkurencją dla kandydatów, dlatego zastąpiono je w ogóle nieznanym paniami). Jak to się robi? Same zainteresowane odpowiadają nieco zagadkowo, ale chyba zrozumiale: „przy brydżyku, przy golfiku, przy wódeczce...”

Kobiety jednak nie przyjmowały tego pokornie – prasa pisała np. o swego rodzaju buncie kobiet w Gdyni i Szczecinie, gdzie działaczki pozbawione miejsc na listach tworzyły *ad hoc* swoje komitety wyborcze. Niestety brak wyraźnego logo partii, znanej marki politycznej i pieniędzy na kampanię skazywał je na porażkę.

Również reguły kampanii wyborczej są dość niejasne. W telewizyjnych spotach kobiety rzadko występują jako główne kandydatki partii, rzadko wypowiadają się jako ekspertki na tematy związane np. z gospodarką. Pół biedy, jeśli prezentowane są jako tło kandydatów, jako ich wierne i oddane żony, wystawiające im swoiste świadectwo moralności, odpowiedzialności i poczciwości. Gorzej, gdy występują jedynie jako hostessy, programowo całujące prezesa w policzek.

Trzeba jednak otwarcie powiedzieć, że wszystkie te nieprawidłowości funkcjonują w ordynacji, która ani kwoty, ani żadnych innych obwarowań prawnych nie przewiduje – faktem jest zaś, że partie, które wprowadziły kwoty, mają proporcjonalnie najwięcej „kobietych” mandatów (np. w Unii Pracy po wyborach 2001 r. odsetek wzrósł do 43%). System ten sprawdza się w wielu krajach europejskich – najlepiej widać to w Parlamencie Europejskim, gdzie kraje uznające kwoty wprowadziły nawet 58% kobiet-eurodeputowanych (Szwecja), podczas gdy Polska ze swoimi 13% zajmuje w rankingu dopiero miejsce 23., ustępując tylko Malcie i Cypru. Argument, że kwoty byłyby nieuzasadnionym wprowadzaniem odgórnych ograniczeń demokracji jest w Polsce raczej niestosowny w obliczu powszechnych, nie do końca jasnych i precyzyjnych mechanizmów wyborczych (np. słynne blokowanie list – czym to jest, jeśli nie swoistą kwotą, przy czym nie ma żadnego społecznego uzasadnienia takich praktyk). Kwoty idą też w parze z zapisanymi w programie partii innymi postulatami dążącymi do równouprawnienia kobiet i mężczyzn(sic!) – takie postulaty zgodne z wytycznymi ONZ w tej kwestii w swoim oficjalnym programie ma właśnie Unia Pracy, częściowo także SLD. Niestety partie prawicowe udają, że nie widzą lub, co gorsza, naprawdę nie zauważają, problemów kobiet. A one nie sprowadzają się przecież do kwestii wyboru pomiędzy myciem naczyń a wyrzucaniem śmieci lub, poważnie już mówiąc, tylko do aborcji. ONZ zwraca szczególną uwagę na równouprawnienie na rynku pracy, ochronę macierzyństwa, rozwiązania prawne dla kobiet-ofiar przemocy, także seksualnej (postępowanie z kobietami zgwałconymi, szeroki problem molestowania), profilaktykę zdrowotną i edukację seksualną, dostosowywanie programów nauczania do rozwijającej się sytuacji społecznej. Dużo do zrobienia, więc potrzebne jest wiele rąk do pracy, także męskich. Jednak w obliczu niewielkiego zainteresowania mężczyzn tymi problemami (co potwierdzają przykłady z dwóch – tylko z dwóch! – debat parlamentarnych) wniosek jest jasny: kobiety potrzebują kobiet. Mogą to być oczywiście specjalne partie kobiet, które funkcjonują też w innych krajach Europy. Najskuteczniej można jednak walczyć pod sztandarami dużych i bogatych, bo finansowanych z budżetu państwa, partii. Walczyć można też wrzucając do urny w następnych wyborach kartkę z krzyżykiem przy nazwisku kompetentnej i dobrze przygotowanej do pracy publicznej kobiety – na pewno będzie można taką znaleźć, trzeba tylko poszukać na ostatnich miejscach listy...